

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25. Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb-Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Dunajewskiego № 1. CENA OGŁOSZEŃ: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i ogłoszenia zwykłe kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Kronika towarzyska, Nekrologi i Nadeśtane kop. 75 za wiersz nonparelowy. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadeśtanych 8 rb., na ostatniej 7 rb. wewnątrz 6 rb. Artykuły reklamowe z fotografiami i stroną rb. 175. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1.
Telefony: Redakcji 73-12. Redaktora 68-75. Administracji 73-22 i 80-75.
Drukarni 7-38. FILIA w ŁODZI, ulica Piotrkowska № 81. Za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

ŚWIAT

Rok X. № 18 z dnia 1 maja 1915 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Warszawa, ulica Zgoda № 1.
Pod kierownictwem naczelnym Stefana Krzywoszewskiego.

„Palais de Glace”

Nowy-Świat № 19.

Pierwszorządny kinematograf

Udział zm. k. Warsz. Orkiestry
Filharmonicznej.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezd. do pracy

Filja dla Kr. P. Marszałk. 136.

8857 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr 2.
Biuro Kłowie: Kiliów ulica Kreszatyk Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Spór polsko-litewski i spór polsko-białoruski.

Ankieta „Świata”.

Przed kilku laty przeprowadziliśmy w Wilnie ankietę w sprawie stosunków polsko-litewskich, których nigdy nie spuszczaliśmy z uwagi. Moment był gorący, stosunki wysoce podrażnione, niezadowolone z zarządzeń ks. Michalkiewicza, podjętych przez głębokie poczucie słuszności i sprawiedliwości, wielkie u litwinów, również pewno wielki żal polski do litwinów, między którymi była zorganizowana grupa, uważająca, że w walce narodowej cel uświata środków. Od tego czasu stosunki zmieniły się, ale bynajmniej nie radykalnie. Ze odbywają się w dalszym ciągu na gruncie kościelnym praktyki potworne, w których religia i modlitwa wciągana jest przez niektórych księży jako środek politycznej agitacji, mieliśmy tego potwierdzenie świeżo przez rozporządzenie wyższej duchownej władzy, usuwające ks. Olszewskiego, będącego nawet dygnitarzem kościelnym, od praw kapłańskich. Na ogół jednak temperatura ogólna stosunków na Litwie wydaje się nieco ochłodzoną wokół polskiego żywiołu. Rozwój odrodzenia litewskiego wstąpił w nową, wyższą pod pewnym względem fazę, w fazę walki partyjnej; na młodym i bardzo jeszcze dalekim od kulturalnych obyczajów gruncie litewskiego życia publicznego, ta walka rozplamiała się gorącym ogniem; lewicowcy założyli własne

pisma, szowiniści obalili kandydaturę do Dumy Bułata, walka została wypowiedziana i przyjęta; każdy przygotowuje sobie jaknajwięcej możliwie zapasów bojowych.

Ponieważ człowiek rozporządza ograniczoną siłą, wogóle, przeto i nienawiść, rozłożona na większą ilość grup, musiała mniej masowo zaciążyć na polakach. Od chwili wielkiego rozłamu partyjnego litwinów stało się więc możliwym, iż polacy znajdują się bliżej jednej z litewskich partii, aniżeli drugiej. Otóż ciekawa jest kwestya — której bliżej? prawicowców czy lewicowców? O tem zdecydować musiała ilość kultury, na którą się zdobył ta i owa partya litewska. Z naszej ankiety czytelnicy się przekonają, że lewica litewska, że partya postępowo-demokratyczna, tej kultury zdobyła sobie bezporównania więcej od prawicy, od obozu szowinistyczno-klerikalnego. Jeśi między polakami a postępowymi litwinami porozumieć się dziś jest jeszcze trudnem, to między szowinistycznymi klerikalami litewskimi a jakimkolwiek grupą polską, choćby to była grupa konserwatywna i katolicka, wydaje się zgoda niepodobnem.

W głosach p. Bułata, pan Borkiewiczowej i innych leaderów postępowych słychać pewne tony pojednawcze, chęć jakby zaprzestania waśni, dążenie do wspólnej pracy

nawet w tem i owym ognisku, przy tym i owym warsztacie. W tym celu powstała w obozie postępowym litewskim nowa doktryna polityczna: przyznania polakom praw mniejszości. Na razie ta doktryna jest tylko bodaj embryonem i nie oznacza jakiegokolwiek uprzywilejowania żywiołu polskiego wobec innych, nielitewskich grup kraju. Jeżeli te prawa polskie wypływają z samej tylko demokratycznej zasady równości wszystkich, bez względu na ich historyczne związki z ziemią, z ich środkami i talentami, jakie one wnoszą do pracy w kraju, a taką zdaje się idea p. Birżyski, to, oczywiście, jest ona tylko próżnym słowem. Fakt, iż są litwini, którzy nie pragną nas wyrzucić za Bug, ale tak samo łaskawie pozwolą mieszkać Montwiłłom, Moniuszkom, Tyszkiewiczom. Czeczotom w swoich gniazdach, jak i wszelkiemu Niemcowi, rumunowi, chińczykowi, który by zechciał się osiedlić na ziemi litewskiej, nie jest żadna podstawa do polepszenia sprawy polsko-litewskiej. Ale to samo już, że lewicowcy litewscy o takim polepszeniu czasem myśla, że szukają sposobów do rozwiązania sporu, jest znamienne. Jest ta postawa, bądźco bądź, inna, aniżeli szowinistów, którzy żądają od nas rozmaitych rzeczy, wzamian za nie „nic” nam nie mając do zaofiarowania.

Jak mało jest jeszcze dziś gruntu do zgody polsko-litewskiej, a także i polsko-białoruskiej, — ponieważ spór polsko-białoruski idzie niewolniczo śladami sporu polsko-litewskiego, co uplastycznia naszą ankietę. Wszystkie partye litewskie no, żądają przyłączenia do Litwy przynajmniej tych pięciu powiatów Suwalszczyzny, w których litwini stanowią większość. Ale co zrobić z temi powiatami, dziś do Litwy administracyjnie włączonemi, w których litwini są mniejszością, albo znikomością? Może by nam na to ci panowie odpowiedzieli. — Niemniej bodaj powszechną jest u litwinów teoria, że narodowość nie określa się przez samoprzysnanie jednostki do niej. Ale z tego wynika, że ani pan Borkiewiczowa, ani p. Giro, najczynniejsi z pośród działaczy litewskich, nie są wcale litwinami, ponieważ ich rodzice mówili po polsku, a i oni sami dopiero w pewnym wieku poznali mo-

wę litewską. Nie możemy przyjąć zasady, aby jakkolwiek policja decydowała o najintymniejszym prawie wolności duszy człowieka, o jego prawie wyboru wyznania, narodowości, partii politycznej. — Słyszymy jeszcze, że polacy żadnych praw nie mają na Litwie a wszystkie obowiązki, ponieważ ciągną oni zyski z naturalnych bogactw kraju. Ale, nie wspominając nawet o prawach historycznych, czy oni temu krajowi nie dają swoich środków, swoich kapitałów, swoich umiejętności ogólnych i zawodowych, swych cnót ludzkich i ekonomicznych, swej pracy, swej rzetelności w stosunkach? I czy nie dają tego wszystkiego Litwie więcej, aniżeli inne grupy narodowościowe, ponieważ tego wszystkiego mają od jakiegokolwiek grupy więcej do ofiarowania w tym kraju?

U p. Ludwika Giro.

P. Ludwik Giro jest jednym z najstarszych dziennikarzy litewskich, choć do czterdziestki brak mu jeszcze wiele lat. P. Giro pracuje w prasie litew. od pierwszego numeru „Vilniaus Žinios“ to jest od r. 1904, kiedy cofnięto zakaz i pozwolono na druk czcionkami łacińskimi. Dawniej prasa litewska musiała szukać sobie przytułku w Prusach, mianowicie w Tylży. P. Giro jest obecnie współpracownikiem pisma „Viltis“ (Nadzieja), gniazda litewskiego szowinizmu, zabarwionego klerikalizmem, bo trudno nam nazwać katolicyzmem te jaskrawe praktyki, nie wspólnego z przykazaniami żadnego chrześcijańskiego wyznania nie mające.

Pragnąłem rozmówić się z naczelnym redaktorem tego pisma, p. Fr. Dowidajtysem, ale pokazało się, że ten mąż, bardzo filologicznie zreszta wykształcony, tego zagranicznego języka, który jest moim rodzinnym, nie posiada. Mówi on tylko po litewsku, albo po niemiecku, francusku, rosyjsku, angielsku, włosku, hiszpańsku i flamandzku, co jest dość naturalnem u człowieka, zrodzonego w Suwalszczyźnie. P. Giro umie natomiast po polsku, dzięki zapewne jakiemuś nadzwyczajnemu zbiegowi okoliczności. Korzysta nawet z tej niezwyklej umiejętności, tłumaczył bowiem z polskiego różne rzeczy, między innymi „Gości“ Przybyszewskiego, „Lekkomyślną Siostrę“ Perzyńskiego i inne. Zna nasz „Świat“ i chwali go. Uważanym jest w różnych kołach litewskich za bardzo wybitnego poetę i dramaturga.

W rozmowie naszej przystępuje odrazu do żądań:

— Domagamy się, aby uregulowana została kwestya językowa w niektórych kościołach dyecezyi wileńskiej, a zanim to nie nastąpi, nie może być mowy o zgodnem współżyciu między litwinami i polakami. W wielu świątyniach litwini nie mają zagwarantowanych praw języko-

wych. Tak, obecnie toczy się walka w Raduniu, gdzie litwinów jest około dwóch tysięcy. Tu nie mamy śpiewów w mowie rodzimej. Co zaś do



Ludwik Giro.

Wszystkich główniejszych kościołach parafialnych, jak również i w Ostrzej Bramie, domagamy się wprowadzenia śpiewów i kazań po litewsku. Ewangelia we wszystkich wileńskich kościołach winna być odczytywana w obu językach: tak po litewsku, jak i po polsku.

— Czy te wymagania są usprawiedliwione jednak przez faktyczny „stan posiadania“? — zapytałem.

— Wszak na 90,000 katolików w Wilnie, jak oficjalna statystyka wskazała, litwinów jest tylko 2,200. Tymczasem litwini mają w całkowitem rozporządzeniu swem jeden z osiemnastu wileńskich kościołów a także dodatkowe nabożeństwa w innych świątyniach. — więc proporcjonalnie i dziś litwini mają więcej, aniżeli słusznie by im się należało.

P. Giro mniema jednak, że ta statystyka przeprowadzona została stronniczo.

— Według naszych obliczeń, w owym momencie mieszkało w Wilnie najmniej 15 tysięcy litwinów.

Przypomniałem memu rozmówcy, że ta statystyka była prowadzona przez wileńskie duchowieństwo zawsze w asystencji kapłanów, uważających się za litwinów.

— Tak, ale bywały „presye“. Przytem różni polacy, właściciele nieruchomości i przedsiębiorstw, nie pozwalali swym podwładnym i słuzącym litwinom pójść do kościoła w czasie zapisów.

Jak to wygląda na polaków?!

Dalsze żądania p. Giro są:

— Aby prasa polska uczciwie i niejednostronnie oświecała nasze sprawy narodowe. Tak obecnie nie postępuje. Od ziemian polskich na Litwie wymagamy współpracownictwa w naszym życiu zbiorowem. Oto jedna kategoria faktów: ziemianie, korzystając z wadliwego systemu wyborczego, nie chcą obierać istotnego przedstawiciela naszego i podają swe głosy za pseudo-litwiną, posła Ciunelisa, któremu każą należeć do Koła Polskiego (?). Jeżeli w gubernii Kowieńskiej nie posłaliśmy razem z polakami, to jedynie dlatego, że chcieli zbyt wielkiej ilości mandatów, która im się słusznie nie należy. Żydzi zadowolili się jednym posłem. Jednak uważamy, że ten sojusz jest nienormalny, gdyż żydzi, bezwatpienia, z powodu różnic etyki i wiary, nie są naszymi natural-

nymi sprzymierzeńcami. Blok ów był wywołany koniecznością koniunktury społeczno-politycznej. Swego rodzaju malum necessarium. Nowe wybory, o ile polacy nie zechcą obstawać przy swych wygórowanych żądaniach, mogą przejść pod innym hasłem, do litewsko-polskiego bloku.

Również muszę zaznaczyć, że poważnym kamieniem niezgody będzie kwestya wyodrębnienia litewskiej części Suwalszczyzny. Przy pierwszej-lepszej sposobności ziemie litewskie winny być wyłączone z granic Królestwa Polskiego.

Postawiłem sprawę jasno:

— Czy panowie wolicie, by litewska część Suwalszczyzny pozostała w Królestwie i korzystała z praw ogłoszonego samorządu, czy odwrotnie: być przyłączonym do Litwy i nie korzystać z dobrodziejstw samodzielnej gospodarki?

P. Giro dał mi odpowiedź bardzo stanowczą:

— Wolimy drugie, byle nie być odosobnionymi (?) od serca ojczyzny.

Jednakże p. Giro jest mniej radykalnym naogół od innych litewskich polityków. Mówi mi:

— Jesteśmy gotowi przyznać polakom na Litwie *prawa* mniejszości, bo uznajemy, że są tu oni nie kolonistami tylko, lecz obywatelami kraju. Pewne trudności napotka jedynie kwestya określenia terytorium, gdzie te prawa byłyby czynne, bo te miejscowości, gdzie ojcowie mówią po litewsku, a synowie już tylko po polsku, uważamy za podlegające bezwzględnie wpływowi kultury litewskiej. W takich miejscowościach *nie uznajemy prawa samookreślenia narodowego*, gdyż przynależność tej części ludności do narodu polskiego uważamy za fikcyjną, wywołaną wpływem bałamutnej, polonizacyjnej działalności.

— Cóż panowie poczniecie, jeżeli pomimo wszystko ci nowi polacy nadal będą trwali przy „bałamutnej“ argumentacji i nie zechcą powrócić na łono narodu litewskiego?

— Będziemy usiłowali wszystko czynić, byle nawrócić obalamowanych. W takich wypadkach chcemy mieć całkowitą swobodę działania. Dlatego już i dzisiaj uciekamy się do wydawania różnych agitacyjnych broszur, nawet w języku polskim. Wierzmy gorąco, że ostatecznie przemówia narodowe uczucia litewskie.

— Może pan będzie łaskaw poinformować nas, dlaczego litwini wciąż żądają różnych rzeczy od polaków, a jednocześnie do żadnych rekompensat, żadnych obowiązków względem nich się nie poczuwają? Takie stosunki są przecież niesłychanie jednostronne, co wydawać się musi bardzo dziwnem u tych, którzy na jednostronność tak wrzaskliwie się skarżą.

— My nie możemy nic dać polakom, ponieważ nie mamy nic do dawania. W obecnym stadium roz-

woju możemy tylko żądać. Litwa zbyt jeszcze jest słaba, by mogła szafować swymi siłami. Pozatem wydaje się nam zupełnie naturalnem, że polacy winni pomagać Litwinom, a nie odwrotnie. Wszak korzystają oni z naturalnych bogactw Litwy, z pracy ludu naszego. — więc nie my względem nich, a oni względem nas mają poważne obowiązki. Jeżeli zaś polacy przyjmują jakiś udział w pracy naszej, to tak nieznaczny, że nie jest w stanie zapłacić setnej części tego, co od was nam się należy.

W końcu rozmowy napomknąłem o sprawie mowy polskiej w tym kraju, gdyż niezmiernie byłem zdziwiony, że p. Fr. Dowidajtis, który pod względem lingwistyki europejskiej jest tak wszechstronnie wykształcony, jednocześnie nie posiada mowy polskiej.

— Nas to zupełnie nie dziwi, — otrzymałem na odchodnym odpowiedź, — my, Litwini, nie uważamy za nasz obowiązek znajomości języka polskiego, ponieważ polacy również nie starają się mówić po litewsku. Bardzo wielu z młodego pokolenia litewskiego nie tylko nie umie mówić, lecz zupełnie nawet nie rozumie mowy polskiej. Przeważnie znają rosyjski. Jeżeli ja mówię po polsku, to jedynie dlatego, że dawniej mówiłem tylko w tym języku; po litewsku nauczyłem się w późniejszych nieco latach.

U p. Felicji Bortkiewiczowej.

W redakcyi pism postępowo-demokratycznych: „Lietuvos Žinios“ i „Lietuvos Ukiniukas“. A więc na drugim społeczeństwie biorąc krawiec, aniżeli „Viltis“, o ile przyłożymy do litewskich stosunków europejską miarę, dla nich zresztą niewymierną. Pierwsze z wymienionych pism wychodziło przed wojną codziennie, obecnie ukazuje się trzy razy tygodniowo; drugie jest tygodnikiem, dla szeroki sfer włościańskich przeznaczonym, a prowadzonym w duchu ludowcowym. W rozwoju swym spotyka się on z energicznym przeciwdziałaniem pism, stojących na gruncie katolickim. Walka jest zawzięta, nawet zajadła, a takie epitet, jak „rozbójnicy“, „figury z pod ciemnej gwiazdy“, często używane są w miejscu argumentów.

Pani Bortkiewiczowa, wydawczyni tych pism postępowych, uważa się za szczerą Litwinę. Ród jej pochodzi z sandomierskiego, jej dziad walczył w 1863 roku. Pani Bortkiewiczowa z Powickich przed piętnastu laty dopiero nauczyła się po litewsku.

Jej zdaniem:

— Należy historię zostawić w spokoju.

Akt horodelski!

Był to piękny, niezawodnie, moment.

— Ale realnej wartości dziś nie posiada żadnej. Zawierali go panowie, a nie przedstawiciele ludu. A

Maskarada wojenna.



Są zwierzęta, które na zimę zmieniają barwę skóry. Bieleją, aby tem łatwiej ująć pościgu na białych płaszczyznach śnieżnych. Wywiadowcy niemieccy zdobywali się często na tenże sam fortel w ostatnich przedwiosennych tygodniach. Gdy jeden, ukryty wśród gęstych gałęzi sosny, z góry bada teren, drugi sunie po śniegach odziany w białe prześcieradło.



Ale czaty rosyjskie czuwają. Oko żołnierza, który może jeszcze ubiegłej zimy chodził śladem zając po rozległych płaszczyznach wielkorosyjskich, dostrzegło wśród śniegów jakiś błyszczący ruchomy punkt. Metalowe ozdoby kasku zdradziły wywiadowcę. Świst kuli karabinowej skłania go do oddania się na łaskę i niełaskę.



W parę chwil później wędruje już białe widmo przez lasy ku kwatrze rosyjskiej w otoczeniu żołnierzy, których zwał huk wystrzału. Maskarada zimowa nie lepszy miała skutek od jesiennej, kiedy Niemcy daremnie przebiegali się za wiejskie baby.

panowie w formacji narodu litewskiego nie brali żadnego udziału.

Mowa pani Bortkiewiczowej brzmi jednak, naogół, mniej przykro dla ucha polskiego. Ta pani stoi na gruncie radykalnym społecznie, ale nie przejawiającym szowinizmem.

— Nasze pisma antypolskiego stanowiska nigdy nie zajmowały — mówi nam. — Jeżeli walczymy, to z waszymi szowinistami. Również, jeżeli co zarzucamy miejscowym polakom, to brak poczucia obywatelskich obowiązków względem tego kraju w szerokim znaczeniu tego słowa. U was przeważa patryotyzm lokalny, t. j. taki, który może zmieścić się w granicach każdej poszczegółnej gubernii. Jesteście przeważnie obywatelami nie Litwy, lecz gubernii kowieńskiej, wileńskiej i t. d. Ten stosunek do kraju ogromnie się odbija na całości pracy społecznej. Miejscowi polacy, nie mając szerszego poglądu, nie popierają instytucji ogólnie litewskich i nie dążą razem z nami do wywalczenia Litwie szerszych praw. Litwa i litwini muszą być uznani za odrębną całość, — a stąd wypływają już zupełnie zrozumiałe dla każdego konsekwencje, jak również i to stanowisko, jakie polacy winni zająć w stosunku do nas.

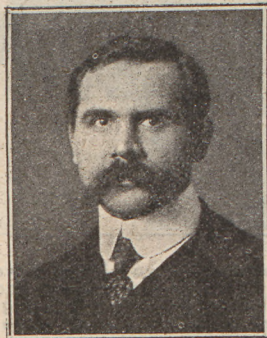
Poważne nieporozumienie wywołuje zawsze pojęcie „obywatel Litwy“ — w danym wypadku etnograficznej. Jeżeli polacy chcą być obywatelami, obdarzonymi pełnią praw, to niech pamiętają, że tu są obywatelami nie Polski, lecz Litwy, — a stąd łatwo już wyprowadzić te obowiązki, o których urzeczywistnienie tak my się dobijamy u polaków. Prócz p. Michała Rómera — autora cennego dzieła „Litwa“ po polsku, p. Stanisława Montwiłła — fundatora polsko-litewskiego teatru w Poniewieżu, i p. Władysława Węclawowiczowej, ziemianki z Kowieńskiego, która wspólnymi siłami z ludem miejscowym założyła dom ludowy, gdzie odbywają się obecnie kształcące społeczne pogawędki i gdzie siedzibę ma Kółko rolnicze, — nie znam więcej miejscowych polaków, którzyby chcieli zająć nie dominujące i kierownicze stanowisko, lecz równe z narodem litewskim i jego działaczami.

Prawda, w obozie polskim dają się spostrzegać coraz częściej przejawy zgodnego spółzycia z narodem naszym, lecz litwini z powodu znanej podejrzliwej swej psychiki narazie zajmują wyczekujące stanowisko. I chociaż zacierzewienie jest wielkie tak z jednej strony, jak z drugiej, wierzę, że czas wszystko zatrze.

Młoda Litwa dzisiejsza, to przecież synowie chłopów a więc demokraci, polskie społeczeństwo reprezentowano jakby głównie przez większą własność i dla tego dwa narody polski i litewski, stanowią jednocześnie dwa obozy polityczno-społeczne na Litwie.

U p. Andrzeja Bułata.

P. Bułat był wybitną jednostką Duni. Wybrany jako poseł z Suwalszczyzny, stanął na czele partii pracy (trudowiki), która reprezentowała interesy chłopów, unikając wszelkich doktryn i wogóle przesłanek ogólnych; była to partya chłopiska, realistyczna do krańcowości. Litwinom wydał się p. Bułat niedość litwinem, szowinistom niedość nacjonalistycznym, klerykałom miażdżącym postępowości. Połączyli się więc z sobą na wyborach przeciwko



Andrzej Bułat.

niemu i p. Bułat do obecnej Duni już nie wszedł.

I jego głos mniej polskie ucho kole, aniżeli mowa szowinistów litewskich. Strzeżmy się wyprowadzić stąd wniosku, że porozumienie polsko-litewskie da się łatwiej dokonać na gruncie radykalnych reform socjalnych, aniżeli na jakimkolwiek innym.

Zresztą, w słowach p. Bułata brzmi głównie żale do tych, co go obalili:

— Nasze główne a wspólne nie-szczęście — to szowinizm, — mówił nam, — który wydał bujne owoce tak z jednej strony, jak i z drugiej. Jeżeli dziś wśród polaków szowinizm doszedł do kulminacyjnego punktu swego rozwoju, to u nas — u litwinów, z powodu agitacji nacjonalistycznej, szowinizm będzie jeszcze się rozwijał. Z tem społecznym nie-szczęściem my, jako demokraci, walczymy bez wytchnienia. Do tej walki również i was wzywamy, gdyż wkrótce nastąpi czas wspólnej pracy, kiedy rozpanoszone szowinizm na każdym kroku będzie i nam i wam stawiał nieprzezwyciężone przeszkody w rozwoju. W kwestii wyodrębnienia litewskiej części Suwalszczyzny również wielką rolę odgrywa szowinizm, gdyż obawiamy się, że w Suwalskiem pod wpływem niesumiennej agitacji rozwinię się zażarta walka między polakami i litwinami. Litwini zechcą litwinizować polaków, a wy polonizować nas. Słowem, kość niezgody ciągle będzie między nami. I tylko wvodrębnienie mniejszości pięciu litewskich powiatów z organizmu polskiego będzie w stanie położyć koniec waśni. Prócz tego akt taki wpłynie na ochłodzenie ciężkiej, upalnej atmosfery, która dla nas wszystkich jest nie do zniesienia.

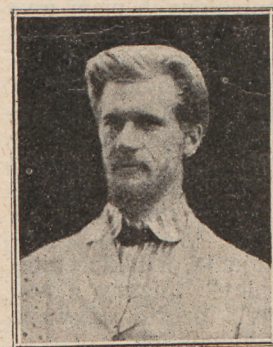
Co do kościoła, to stanowczo twierdzą, że słuszne prawa wszystkich parafian muszą być uwzględnione. Niech każdy tak się modli, jak chce i jak mu lepiej. Jednak stosunków polsko-litewskich ograniczać tylko jednym kościołem — nie można,

gdyż poza sferą kościelną jest także mnóstwo wspólnych terenów dla pracy politycznej, ekonomicznej i wogóle społecznej, że tylko uszanowanie praw każdego narodu z każdej strony może doprowadzić do kulturalnego współpracownictwa obu narodów, bardzo dla obu pożądanego.

U p. Michała Birzyszka.

Z ognisk namiętności i sporów politycznych przenieśliśmy się teraz na chwilę do zacisznego gabinetu p. Michała Birzyszki, w chłodną a czystą atmosferę naukowej pracy. Na rozłożystym biurku w nieładzie porzonym leży mnóstwo porozkładanych dzieł treści socjologicznej, historycznej i etnograficznej, gdyż mój rozmówca, młody działacz społeczny i wybitny publicysta litewski, pracuje obecnie nad rozprawą o litewskich legendach i pieśniach. Uczony ten należy do lewicy demokracji litewskiej i jest zwolennikiem doktryny materializmu w dziejach.

— Wy, polacy, zwłaszcza z Królestwa, wciąż wyobrażacie sobie, że litwini obecnie zaieci są jedynie miotaniem oskarżeń na polaków. Tymczasem tak zgoła nie jest. W naszym życiu wewnętrznym kwestya ta odgrywa podrzędną rolę. Naprzekład, nasza grupa zajmuje nietylko krytyczne stanowisko względem polaków, lecz jeszcze więcej sroższe wobec rozpanoszonych litewskich elementów szowinistycznych. Nasze stanowisko w kwestyi politycznego ustroju Litwy jest zupełnie określone i jasne i nie wątpimy, że litewska część Suwalszczyzny przyłączy się do Litwy. Tu nie nacisk zgóry, lecz świadoma wola mieszkańców winna określić granice terytorium, jakie ma być wyodrębnione z Królestwa.



Michał Birzyszka.

Na Litwie, nawet o tem i wątpić nie można, gwarantujemy polakom prawo mniejszości, ponieważ każdy mieszkający stale w tym kraju eo ipso zyskuje prawo obywatelstwa. Jednak żądamy, by miejscowi polacy naprawdę poculi się obywatelami Litwy i żeby wspierali nie tylko swoje narodowe instytucje, które mają na celu, jak dziś, niesienie pomocy rodakom z nad Wisły, lecz i ogólnokrajowe zrzeszenia.

W porozumienie polsko-litewskie czy litewsko-polskie, jak pan chce, bezwzględnie wierzę, gdyż nie widzę przeszkód, których by się nie dało usunąć lub przełamać. Wszak i dzisiaj nasza grupa nieraz bliższy ma kontakt z demokracją polską i między nami niema wielkiego rozdzwiku. Ton zaś rozdrażnienia, który wszechwładnie panuje i u

litwinów i u polaków, w najbliższej przyszłości może być złagodzony, jeżeli się o to szczerze postaramy z obu stron. A do dziś prawie nie się w tym kierunku nie czyni, ponieważ każdy z tych narodów żyje, że tak powiem, swoją parafią; o przeobrażeniach w polskim życiu wewnętrznym litwinów zupełnie nie są informowani, jak i vice versa. Dotąd widzimy tylko jednostronne traktowanie sprawy litewsko-polskiej, która nie wychodzi z poza ramek wzajemnych zarzutów i oskarżeń. Przeto ostateczne rozstrzygnięcie sprawy możliwe jest tylko na gruncie szczerze demokratycznym, gdzie są wyłączone wszelkie pożydlivości i zachłanności nacyonalistyczne.

U p. Antoniego Nowiny.

P. Nowina jest białorusinem, jednym z twórców narodowego odrodzenia białoruskiego. Ruch to młody i o wiele mniej energiczny od litewskiego. Wilno jednakże i ogromna część ziem wileńskiej, to przecież Białoruś; mówiąc przeto o stosunkach miejscowych, wydało się nam koniecznym poinformować się i u przedstawiciela białoruskiej grupy. Ruch odrodzeniowy białoruski posiada organ: „Nasza Niwa“, w którym wypowiada swoją młodzieńczą ideologię.

Od p. Nowiny usłyszałem przede wszystkim, w sprawie „sporu polsko-białoruskiego“, bo zdaje się, że i taki spór istnieje, niezmiernie długą listę pretensyj.

Tak słonego rachunku do zapłacenia nie pokazano mi w żadnej litewskiej redakcji.

Wprawdzie p. Nowina wyznaje przekonania postępowe, ale ponieważ ruch białoruski nie jest jeszcze zróżnicowany, jego postępowcy mówią do nas dwudźwiękiem obu kategorii pretensyj. Stąd taką długą jest lista.

— Na samym wstępie muszę przeprowadzić ściśle rozróżnienie między polakami z Białej Rusi i Królestwa. Przeciwno ostatnim my nie wnosimy żadnych oskarżeń. Lecz mówić z nimi o porozumieniu lub o zgodzie możemy tylko w teorii. Realnych skutków pertraktacye te nie przyniosą; zanim nie zostanie usunięty główny powód powstającej dopiero waśni, zanim miejscowi polacy nie pozbędą się zachłanności swej, stosunki polsko-białoruskie będą się regulowały nie między Wilnem i Warszawą, lecz w samem Wilnie. Polacy z nad Wisły nieraz nader sympatycznie odzywają się o naszym ruchu narodowym. Lecz to głos wołającego na puszczy, bo miejscowi polacy ani na jofę nie chcą zboczyć ze swej systematycznej, planowej i ciąglej polonizacyjnej działalności. Oto jeden z przykładów: Niedawno pisma warszawskie, jak „Prawda“ i „Dziennik Polski“, zamieściły szlachetne artykuły w naszej sprawie, a jednak głosy te nie znalazły pożądanego oddźwięku w miejscowej prasie polskiej.

„Nasi“ polacy, t. j. z Białej Ru-

si, wszystko czynią, byle panować w tym kraju, więc nie dziwnego, że, w celu wprowadzenia w błąd opinii publicznej, rozpowszechniają z gruntu fałszywe wydawnictwa, w rodzaju map, w których starają się dowieść, że katolicka Białoruś — to Polska, że tu mieszkają rdzenni polacy w ilości od 50 do 100% i t. d., a jednocześnie paktują ze społeczeństwem rosyjskiem o „podział“ białorusinów na mocy uznania katolików za polaków, prawosławnych — za rosyjan.

„Nasi“ polacy żądania białorusinów co do wprowadzenia mowy białoruskiej do kościoła uważają za akt wypowiedzenia wojny całemu narodowi polskiemu. „Nasi“ polacy nie szanują białoruskiej pracy narodowej, i w kraju ani jedno pismo polskie nie zajęło przychylnego stanowiska względem nas. Prócz nieuzasadnionych napaści i świadomie fałszywych oskarżeń o rzekoma nienawiść białorusinów do narodu polskiego — innych głosów nie słyszymy. „Nasi“ polacy myślą wyłącznie o swoich interesach narodowych. Pakty i sojusze zawierają tylko z silnymi, a ponieważ młody nasz ruch uważają za pozbawiony siły, więc nas negują i nie chcą się z nami liczyć. My dla nich istniejemy tylko jako teren dla ekspansyj polskiej. „Nasi“ polacy twierdzą, iż ich jedyny obowiązek — to praca dla podniesienia polskiego włościaństwa w kraju. Lecz ludu polskiego tutaj znikoma garść. Natomiast miliony ciemnych i głodnych białorusinów pozostają bez kierowników, bo naród nasz nie ma jeszcze dostatecznej inteligencji własnej. Praca zaś polaków dla białorusinów uważana jest przez ogół miejscowej inteligencji polskiej za zdradę (?). A przecie w szeregach polskich jest tylu rdzennych synów ziem białoruskiej!

Hasła, płynące z Polski o zgodzie i porozumieniu, szczerze witamy, bo rzecz ta jest nader pilna, ważna i doniosła w swych skutkach dla was i dla nas. Lecz u nas, w kraju, nic się nie robi dla urzeczywistnienia tej zgody. Miejscowi polacy nie mogą się pogodzić z myślą, że czas panowania polskiego w kraju bezpowrotnie minął, że trzeba nie tylko się nazywać, lecz i być obywatelami, że należy oświecać ciemnego włościanina nie tylko dlatego, że on „swój“, lub że „przekształci się na polaka“, lecz i dlatego, że to obowiązek naturalny człowieka wobec człowieka. A jeżeli to obowiązek, to należy białorusina uczyć nie w tym języku, jak pragnie nauczyciel, a tak, jak mówi lud, który w przeciągu tylu stuleci zachowując swą rodzimą mowę, wykazał, że chce pozostać i nadal białoruskim.

Wreszcie winienem nadmienić — mówił dalej p. A. Nowina, — że słowa powyższe dotyczą tej większości społeczeństwa polskiego w kraju, która się grupuje w obozie konserwatywno-klerykalnym, endeckim i

nacyonalno-liberalnym. Elementy te przecież stanowią absolutną większość, przeto nadają ogólny ton krajowej polityce polskiej. Lecz — obok tych ludzi, co psychiką swą niewiele się różnią od naszych „panów“ z okresu pańszczyzny (?), pomału, ale coraz wyraźniej, zaznaczać się zaczyna prąd szczerze demokratyczny. Nieliczni dotąd przedstawiciele kierunku demokratycznego w społeczeństwie polskim, broniąc praw kultury polskiej, nie zapominają, że są obywatelami Ziemi Białoruskiej, że to obywatelstwo wkłada na nich obowiązek niesienia światła i pomocy nie tylko „swoim“, lecz i wszystkim, którzy żyją w ciemności, zdobywając krwawą pracą chleb powszedni, tworząc dobrobyt kraju całego. Nie mają oni dziś większej siły — nie posiadają nawet pisma, które by głosiło ich hasła i zasady. Lecz hasła te i zasady żyją w umysłach i sercach miejscowej demokracji polskiej, przekazane przez Czeczotów, Mickiewiczów, Konarskich etc.

Wierzmy w rozwój polskiego demokratyzmu w naszym kraju — z nadejściem „lepszego czasu“. Wierzmy, że zbuduje ów złoty most, co zespoli wreszcie w jedną zgodną rodzinę wszystkie ludy naszej ojczyzny, waśnione przez sobkostwo obecnych „panów położenia“, przez chorobliwie wybujały nacyonalizm. Z demokracją polską pracować wspólnie szczerze pragniemy. Wierzmy, że w walce ze wspólnym wrogiem, jak i w pracy twórczej wspierać się wzajem będziemy. Wolny od nacyonalizmu lud białoruski chętnie wyciąga ku niej dłoń braterską.

* * *

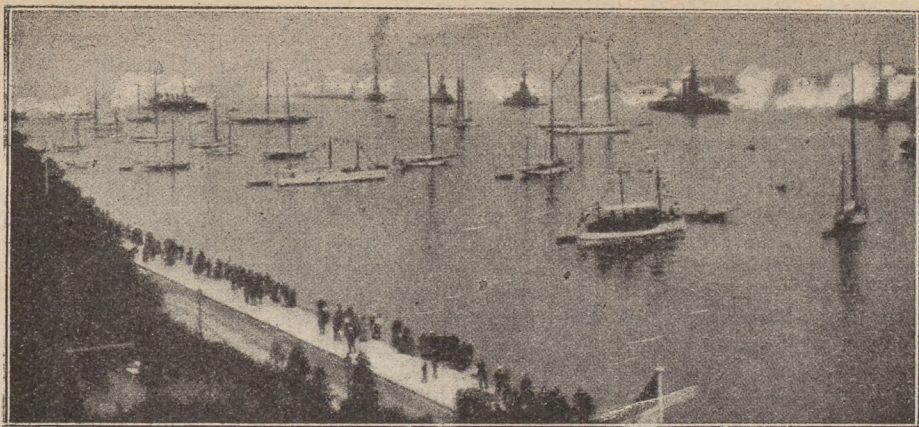
...Powtórzyliśmy tu wszystkie oskarżenia i pretensje p. Nowiny, choć ich przesada nieraz bije w oczy. Nasze zadania były informacyjne. Udać się do kierowników litewskiego i białoruskiego ruchów, skierowanych tak często przeciwko polskiej kulturze, wiedzieliśmy, że usłyszymy sporo niemiłych rzeczy. Uważaliśmy za swój obowiązek podać je do polskiej świadomości. Mamy je za potrzebne i użyteczne materiały do orientacji opinii polskiej i do pracy polskich publicystów i polityków.

Wilno.

Jastrzębiec.

Pamiętajcie o wpisach szkolnych

wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata“.



U wejścia do kanału kilońskiego.

Kryjówka niemieckiej eskadry.

Kanał Kiloński.

W całym dotychczasowym przebiegu działań wojennych prowadzą Niemcy niemal wyłącznie wojnę lądową. Działania morskie ograniczają się do rozbójniczych wypraw łodzi podwodnych, które dzisiaj nie szanują już nawet neutralnej flagi, lecz traktują jak wroga każdy statek, wojenny i handlowy, napotkany w sferze swej akcji. Wielka flota nie wychodzi do boju, a nieliczne starcia jej jednostek z eskadrą angielską należy raczej poczytywać za wynik przypadku, niezbyt miłego dla kierownictwa niemieckiej marynarki, aniżeli za zamierzone, planowe spotkania.

Morski kanał północno-wschodni, zwany inaczej Kanałem cesarza Wilhelma II, jest tą kryjówką, gdzie wielkie okręty niemieckie czają się bezczynnie od początku wojny, jest główną podstawą operacyjną, skąd eskadra podwodna wychodzi, by niepokoić pobliskie wody. Rzecz dziwna: Niemcy, chępiący się zawsze nawet dziełami mniejszego znaczenia, stworzenie tego dzieła technicznego, bardzo interesującego i doniosłego, osłaniali od pierwszej chwili głęboką tajemniczością. W gadatliwej naogół literaturze nie pojawiła się ani jedna książka, ani jedna broszura, w prasie codziennej i zawodowej nie było niemal ani jednego artykułu, traktującego obszerniej i fachowo o kanale Kilońskim.

Wszystko, co wiemy o obecnej kryjówce niemieckiej eskadry, to nieliczne dane, zapisane przez bystrych obserwatorów zagranicznych, którzy, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, jako wybitni inżynierowie, lub tp., dostąpili zaszczytu bardzo powierzchownego obejrzenia budowy. Krępowano ich zaś do tego stopnia, że podróż przez nowy kanał odbywać mogli dopiero po dokładnym stwierdzeniu przez władze, czy nie posiadają w kieszeni kawałka papieru lub ołówka, nie mówiąc już o aparacie fotograficznym. Obstrzeżenia zwiększyły się jeszcze, gdy w ostatnim czasie rozszerzano kanał, dostosowując go wyłącznie do celów wojennych.

Kanał rozpoczyna się przy ujściu Elby koło Brunsbüttel, kończy się w zatoce Kilońskiej pod Holtenau. Ponieważ różnica poziomu obu mórz, Północnego i Bałtyckiego wynosi do 7,33 mtr., więc z obu stron umieszczono śluzy, tak obliczone, by pozwalały przepływać przez kanał okrętom 122 mtr. długości, 19,5 mtr. szerokości i 8,5 mtr. zanurzenia. Pierwszorządne strategiczne znaczenie kanał zawdzięcza temu, że umożliwia bardzo szybkie i bezpieczne przerzucanie

eskadry z jednego morza na drugie, skracając odległość między Kilonią i ujściem Elby z około 800 wiorst na niespełna 100.

Aby przeprowadzić tedy i statki największego typu, przystąpiono w roku 1912 do prac około rozszerzenia kanału, zwiększając szerokość dna do 44 mtr., a minimalną głębokość do 11 mtr. W kilkunastu miejscach przecina kanał tor kolei żelaznych, biegnących po wysoko rozpiętych mostach, oraz drogi kołowe, przeprowadzone wiaduktami. Sprawność tych lądowych arterii komunikacyjnych uwzględniano bardzo troskliwie przy budowie, inaczej bowiem kanał w pewnych okolicznościach mógłby się stać raczej zaporą, niż podporą operacji wojennych.

Niestety — jak się okazuje — na urzeczywistnienie tych wszystkich pięknych planów zabrakło już czasu. Na parę miesięcy przed wybuchem wojny przebudowa nie była jeszcze wykończona, a więc i obecnie liczne szczegóły konstrukcyjne są zapewne uzupełnione tylko prowizorycznie. O niebezpieczeństwach, grożących z tego powodu kanałowi Wilhelma II, podaje garść interesujących informacji znany inżynier piotrogrodzki, prof. L. Sziszko, który miał sposobność zwiedzić kanał w początkach 1914 roku. I jego przeprowadzono z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, nie przewidziano tylko tego, że dzięki doskonałej pamięci potrafi już po powrocie do hotelu poczynić pewne zapiski.

Z relacji profesora wynika, że kanał nie jest bynajmniej tworem skończonym i doskonałym. Rozszerzono brzegi, ale nie było już czasu, by np. powiększyć łączące je mosty, które skutkiem tego zostały osłabione w podstawach. Zwłaszcza most kolejowy koło Lebnau łatwo mógłby runąć, co pociągnęłoby za sobą zupełne odcięcie eskadry kilońskiej od zachodniej podstawy operacyjnej. To niebezpieczeństwo jedno. Innym znów grożą nasypiska gliny i piasku, rzucone przy pospiesznej pracy na brzegi kanału. Deszcze i wiatry splukują je i zmiotają w wody kanału, który skutkiem tego w pewnych miejscach, jak np. koło mostu księcia Henryka pod Holtenau, bardzo szybko się zamula. Pod względem strategicznym jest błędem budowy to, że mosty i wiadukty są dostępne atakom nieprzyjacielskich lotników, którzy mogliby zburzyć je pociskami wybuchowymi i uniemożliwić żeglugę przez kanał.

Niebezpieczeństwo to wzięli Niemcy w rachubę i dlatego z początkiem 1914 roku przebili pod kanałem kilkanaście tuneli, aby mógł w każdym wypadku przeprowadzać wojska z jednej strony kanału na drugą. Tunele, znajdujące się w głębokości mniej więcej 14 mtr. pod kanałem, mają szerokość około 2 sążni, tak, że jednocześnie może przez nie

przechodzić kolumna wojska po 6 do 7 ludzi w szeregu. Boczne komory służą za skład przyborów wojennych i amunicji artyleryjskiej.

Kryjówka eskadry niemieckiej nie jest więc zupełnie bezpieczna i pewna, jak widać z wywodów prof. Sziszki. W danym wypadku, wraz ze zwaleniem żelaznej konstrukcji mostów w wody kanału, stałyby się mogła nawet zasadzką zdradliwą dla samych Niemców. Wówczas bowiem połączenie rozdzielonej eskadry północnej i bałtyckiej byłoby możliwe tylko drogą okrężną koło Skagenu na najbardziej północnym cyplu Jutlandyi, o ileby wogóle zjednoczona flota koalicyjna pozwoliła wyjść statkom niemieckim kanału Kilońskiego na Morze Północne. St. I.

Odbudowa wsi polskiej.

W najbliższych dniach odbędzie się w tej sprawie w Warszawie publiczne odczyty i rozprawy.

Łuny pożogi wojennej trawia jeszcze dobytek kraju naszego i pracę paru pokoleń. Na zgłiszczach musi wkrótce zakwitnąć nowe życie, odródlone. Wieś polska najdotkliwiej bodaj odczuła całą grozę toczącej się wojny i obecnie na znacznym obszarze kraju naszego leży w gruzach.

Myśl obywatelska pracuje tedy już zawczasu nad rychło mającą nastąpić odbudową, a wyrazem tego są prace, podjęte przez Centralny Komitet Obywatelski oraz przez Centr. T-wo Rolnicze łącznie z poszczególnymi kołami zawodowymi. Sprawa omawiana posiada ogromną doniosłość dla kraju, chodź bowiem nie tylko o szybkie podniesienie stanu zrujnowanej gospodarki krajowej, lecz również o to, by cały program odbudowy ująć w pewne ramy racjonalnych zamierzeń, celem usunięcia przedewszystkiem tych wad podstawowych, które były ustawicznym źródłem niskiego poziomu higieny i bezpieczeństwa od ognia na prowincyi. Pożary masowe, niszczące jednorazowo setki zagród, były jeszcze przed wojną zjawiskiem normalnem. Chwila więc obecna, pomimo całej grozy i niedoli, uważana być może za moment nader odpowiedni dla krzewienia budownictwa racjonalnego, ogniotrwałego.

T-wo Literatów i Dziennikarzy Polskich, pragnąc przyczynić się do oświecenia przed szerszą publicznością najbliższych zadań w tym zakresie, urządza w nadchodzącą niedzielę, d. 2 maja, w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa na temat ten publiczną konferencję.

Na zapytanie sprawozdawcy „Świata“ o zamierzeniach i programie działania, jakie należy wcielić w życie przy odbudowie wsi polskiej redaktor „Przeglądu Pożarniczego“, p. Bolesław Chomicz, autor pracy „Pożary a samorząd“ i licznych monografií z dziedziny pożarnictwa, daje nam, jako biorący udział w niedzielnej konferencji, następujące wyjaśnienia:



Bolesław Chomicz.



Maryan Lutosławski.



Józef Tuliszkowski.



Zygmunt Wóycicki.

— Cieszy mnie bardzo, że redakcja „Świata” pragnie przedstawić szerszemu ogółowi doniosłość tej sprawy. Przed wojną, niestety, u nas niewielu interesowało się sprawami pożarnictwa krajowego wogóle, budownictwa zaś wiejskiego w szczególności. Brak samorządu ziemskiego, czyli odpowiednich organów własnych administracyjnych, sprawiał to, że wsie nasze i do wojny pozostawały w opłakanym stanie budownictwa. Powszechnie stosowanie słomy i drzewa, jako głównych materiałów, obok niezmiernej zwartości budowli, czyniło z naszej wsi jeden niemal *stos łatwopalny*. Dość powiedzieć, że po wsiach budynków z drzewa o strzecie jest dotychczas jeszcze 90%. Na każdy pożar poszczególny w kraju przypada aż 5 budynków zniszczonych, na pożar natomiast masowo przypada *jednorazowo przeszło 120 budynków* (w przecięciu za 11 lat). Suma zaś strat, jakie ponosimy corocznie w spalonym mieniu, sięga 10 milionów rubli. Jest to więc poważna klęska ekonomiczna, nad zażegnaniem której wypadnie zastanowić się głęboko przy odbudowie wsi polskiej.

— W jakim sposób, zdaniem pańskim — wtrąciłem, — da się osiągnąć polepszenie tego stanu przy odbudowie wsi po wojnie?

— To, na co się składały pokolenia, nie da się rozstrzygnąć w krótkim czasie. Rozmiar zniszczenia, dokonanego przez wojnę, jest wprost olbrzymi. Południowy teren gub. lubelskiej i Chełmszczyzny, które były widownią zapasów niszczycielskich zaledwie w ciągu paru tygodni walk wrześniowych, daje nam jednak strat w budowlach w sumie 3.200.000 rb., ogółem zaś strat przeszło na 9 milionów rb. A jednak to stanowi zaledwie cząstkę małą tych terenów, które już od 9 miesięcy są objęte pożogą wojny. Gdyby kraj posiadał samorząd ziemski, to nawet bez wojny obecnej należałoby przystąpić do planowej przebudowy wsi i miasteczek naszych, jak to czyniono wszędzie w krajach samorządnych. Bądźco bądź, moment obecny, jako nagły i mierzący w podstawy bytu ludu, wymaga zdwojonych wysiłków. Odbudowa ta odbyć się powinna możliwie racjonalnie, bez pogwałcenia e-

lementarnych podstaw bezpieczeństwa ogniowego. Racyonalne, t. j. nieskupione budownictwo obok stosowania materiałów ogniotrwałych tam, gdzie się to tylko da uskutecznić w drodze zachęty i poparcia materialnego, stanowić winno część najważniejszą całego programu odbudowy po wsiach. Natomiast dla miasteczek należy wprowadzić *obowiązkowy nakaz stosowania materiałów wyłącznie ogniotrwałych*, co do których już praktyka ogólna powszechnie ustaliła taką opinię. Wreszcie rozumnie przeprowadzona komasacja gruntów po wsiach, mających obecnie zniszczone swe zagrody, z jednoczesnym rozplanowaniem tychże zagród, winna, w miarę możliwości, poprzedzić odbudowę.

— Czy program ogólnych zamierzeń w tej sprawie jest już opracowany?

— Owszem, wiele w tej sprawie już zrobiono, wiele jeszcze znajduje się w fazie rozważań. Koło architektów, dzięki inicjatywie C. K. O., ogłosiło konkurs wzorowych zagród włościańskich, oraz wydało drukiem własne komunikaty, podając w nich swą opinie i poglądy co do racjonalnej odbudowy. Wreszcie sekcja budowlana C. K. O. gorliwie pracuje nad szeregiem zagadnień pokrewnych, opracowując projekty na wydawanie zasiłków: na cegielnię po wsiach, na zakładanie spółek budowlanych do wyrobu materiałów ogniotrwałych, na zakup działek leśnych na budulec celem zabezpieczenia włościan od wyzysku spekulantów. Nadto Centr. T-wo Rolnicze rozszerza niebawem swój dotychczasowy zakres przez powiększenie składu i zadań swej sekcji budowlanej w Warszawie, tudzież przez tworzenie komitetów miejscowych na prowincyi, mając po temu zapewnione duże poparcie materialne ze strony ministerium rolnictwa.

Niemalą pomocą będzie również praca oraz inicjatywa kół i osób prywatnych (instruktorów, kółek rolniczych, syndykatów, księży, inteligencji wiejskiej i t. d.), z chwila — oczywista — kiedy fala tentofiska uwolni kraj od zalewu. Widzi więc pan, że robi się w miarę sił i środków, a poczucie odpowiedzialności

obywatelskiej wobec naszych współbraci maluczkich, których wojna dotknęła najboleśniej, dodaje wszystkim otuchę i wiary w powodzenie zamierzeń.

— Jak się przedstawia, zdaniem pańskim, wynagrodzenie od rządu za budowle spalone — pozwoliłem sobie zapytać jeszcze.

— Na ten cel — odpowiada p. Chomicz — kraj już uzyskał przeszło 22 miliony rb., które, ma się rozumieć, pokryją zaledwie część kolosalnych strat. Nie wątpię wszakże, że z chwila uwolnienia kraju od wroga, zasilek ten conajmniej podwojony zostanie. Określenie atoli strat i wynagrodzenie ich oddano w ręce instytucji ubezpieczeń wzajemnych. Instytucja ta w ciągu 15 lat swego działania nie potrafiła dotychczas, wbrew swym założeniom ustawowym, zaopiekować się racjonalnie zwalczaniem klęski ogniowej przez krzewienie budownictwa ogniotrwałego, posiadając po temu ogromny aparat administracyjny o cechach przymusowości, oraz dysponując, za zgodą ministerium spraw wewnętrznych, 14 milionowym kapitałem zapasowym, którego same tylko odsetki starczyłyby na propagowanie środków zaradczych. Ukrajowanie więc tej instytucji na zasadach dawnej Polskiej Dyrekcyi Ubezpieczeń i przeprowadzenie w tym kierunku aktu prawodawczego, chociażby w drodze § 87 Praw, Zasad, nadałoby całej sprawie odbudowy wsi polskiej kierunek prawdziwie obywatelski i niechybny w swych wynikach. Każdy jednak przyzna, że realizacja tak szerokiego programu, jakim jest odbudowa wsi na skale masową, wymaga jednej zcentralizowanej władzy, w ręku krajowym spoczywającej i posiadającej cechy urzędu wykonawczego.

Wreszcie, zegnając mnie, dodał p. Chomicz:

— Po huraganie dziejowym, jakim szaleje nad naszym krajem, wypadnie nie tylko zająć się odbudową, lecz położyć trwałe podwaliny całej przyszłości narodowej, w znękany zaś organizm społeczny wlać moc ducha i hartu...

W. Zyg.





Dr. WŁADYSŁAW WERYHO, inicjator „Instytutu filozoficznego” w Warszawie, zatwierdzonego obecnie przez władze.



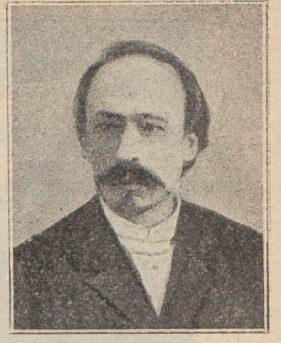
KORNEL MAKUSZYŃSKI, znany poeta i literat, został wybrany przez radę miasta Lwowa na kierownika teatru miejskiego.



Dr. W. RADECKI, psycholog, b. doc. uniw. genewsk., wiolonczelista, inicjator koncertów kameralnych w sali Hermana i Grosmana.



Ś. p. JAN hr. OLIZAR, powszechnie szanowany członek Rady Państwa z gubernii wołyńskiej, zmarł 18 kwietnia 1915 roku.



Ś. p. KAROL OLSZEWSKI, prof. uniwersytetu krakowskiego, znakomity chemik polski, zmarł w 69-m roku życia.

Walki o Suez — wrota do Egiptu.

(Specjalna korespondencja z Kairu).

Podobno generał Maxwell, głównodowodzący wojskami angielskimi, wyjeżdża w tych dniach z Egiptu do Indii. Wyjazd niespodziewany, gdyż przygotowywano opinię w Europie, że Maxwell okaże pierwszorzędnego zalety, jako wódz i polityk. Obecnie ministerium wojny zarzuca Maxwellowi, że nie zorganizował dostatecznej obrony dróg, wiodących do kanału. Tureckie oddziały w bitwach przy El-Cantar i Tussumie podchodziły swobodnie do Suez. Ustawili baterie dział polowych, a nawet strzelali ciężkimi ob



Hussein I-szy, nowy khedyw Egiptu.

lężniczych dział był zatopiony angielski krążownik „Harding”.

Sytuację uratował wtedy francuski okręt bojowy „Requin”, który z wielką precyznością i poświęceniem bronił pobraża Suez. Turcy przecięli przez pierwszą linię angielskich fortyfikacji pod

Tussuma. Okopali się i mistrzowsko bronili swoich pozycji. Indyjskie wojska musiały bagnietami wyrzucać ich z okopów. Krwawą była ta rozprawa.

Okrutny widok przedstawiało pole: trupy leżały pokotem, poszarpane w strasznej walce na broń białą. Wielu Niemców, oficerów, legło na tem pobojuwisku. Jeńcy nie wiedzą ich nazwisk: poznać zaś nie poznałaby rodzona matka, gdyż niektórzy są charakteryzowani... na arabsów. U jednego z takich arabsów o jasnych oczach znaleziono w kieszeni w papierach więcej, niż sto tysięcy franków i rozkaz, jak należy rozrzucać proklamacje do tubylców, oraz adresy, do kogo zwracać się o pomoc. Turcy, uchodząc, zostawili dużo broni. Miała ona być rozdana ludności egipskiej.

Jeńcy mówili, że Dżemal-pasza przysięgał wojskom swoim, iż do pierwszego maja cały Egipt będzie w rękach tureckich. Armia Dżemala składa się z awangardy: trzydzieści tysięcy ludzi i głównej siły: pięćdziesiąt tysięcy. Wojsko Dżemala broni ma pod dostatkiem,

pieniędzy też niebrak, ale żywności mają niewiele. Armia ta składa się z rezerwistów Syrii i Palestyny, oraz nieregularnych band zbuntowanych arabsów. Egipcyan wolontaryuszy, zwolenników Khedywa Abasza-Hilmi, wygnanego przez Anglików, też jest liczba pokaźna. Na zwolennika Anglii „maleka” Husseina urządzono zamach, gdy odwiedzał rannych swoich żołnierzy w lazarecie.

Niemcy dotarli też do Sudanu i mają tam ludności w głowie ile wlezie, ale Anglicy bacznie śledzą za każdym najdrobniejszym objawem nieojalności: stworzyli całą sieć nowych fortyfikacji i skaptowali sobie w razie potrzeby pomoc Abisynii. 200.000 ludzi stoi pod bronią i czeka na rozkazy. Młody negusznegusztli Lidi-Jassy marzy jednak o bojach nie w Afryce. Anglicy szykują mu pierwszorzędną artylerię, z którą przyjedzie zapewne na gościnne występy do Europy.

Senussyci, zakonnicy muzułmańscy, z którymi włosi podczas wojny trypolitańskiej musieli zmuszają prowadzić walkę, przez Anglików są też trzymani w szachu: nie dostarczają im żywności. Dostają tylko tyle — ile potrzebne jest na natychmiastowe użycie. Wódzów zaś Anglicy osypują kosztownymi podarun-

kami, odznaczeniami, przyjmują w Kairze i Aleksandryi z pompą operową.

Anglicy obecnie koncentrują dwie siły między Kairem i Suezem. Wznoszą pospiesznie kosztowne fortyfikacje i szykują się do ewentualnych bojów. W otwartym polu nie wiem, czy Turcy dotrzymają im placu. Taką jest opinia powszechna.

Ale czy nie będą musieli bić się wraz z Sudanem, senussitami i arabami—czas pokaże.

Rzym.

I. Ge—sz.

Od Administracji.

Prenumeratę na „Świat” w Białymstoku, przyjmuje kantor pism Konstantego Koscińskiego, ul. Instytutowa, dom Knaupa.

Odpowiedzi redakcji.

Ita. „Na rumowiskach” nie nadaje się dla naszego pisma. Wiele chropowatości w stylu.

P. J. Lassocie. Wzruszającą jest pańska opowieść o miłym koniku, ale nie nadaje się dla nas.

Na terenie walk w Królestwie.



W pochmurny przedwieczór z miasteczka rusza nowo sformowany batalion na pozycje. Młodzi żołnierze po raz pierwszy znajdują się w ogniu. Idą ze śpiewem, choć serce w piersiach kołata.

Warszawa przyjmowała belgijską misję wojskową z zapalem.



Belgijska misja wojskowa, składająca się z gen. de Witte, gen. barona de Ryckel i porucznika hr. Renette'a, pośród członków Warsz. Klubu Myśliwskiego, z gen. gub. ks. Engańczywem i Wł. ks. Czetwertyńskim na czele. *Fot. Saryusz Wolski.*



Misja belgijska w Wilanowie, podejmowana przez Ksawerową hr. Branicką.



DLA NIEZAMOŻNEJ INTELIGENCJI WARSZAWSKIEJ. W d. 25 kwietnia otwartą została kuchnia art.-literacka przy ul. Wareckiej № 15, gdzie za skromną opłatą można będzie otrzymać smaczny i pożywny obiad. Na czele sympatycznej instytucji stanęła p. Kazimierzowa Zycka (*na lewo*), przy gorliwym poparciu kierownika sekcji Tanich Kuchen, p. Stan. Hirsza.

Pomoc dla Galicyi.



W dniu 24 kwietnia ksiądz Wąsowicz poświęcił dary, z którymi, z ramienia Tow. Pomocy dla ofiar wojny, wyjeżdżają dwa oddziały. Nasza fotografia przedstawia uczestników tej uroczystości, z St. ks. Lubomirską i M. ks. Woroniecką, oraz posłem A. Parczewskim (*w głębi*), na czele.

Dyaryusz dni ostatnich.

Z rozmów i wrażeń.

W końcu kwietnia.

...Ludzie dobrej woli podejmują wielką kwestę na wpisy. Ukochana, z takim trudem zdobyta szkoła polska woła o ratunek. Trzeba zebrać sto tysięcy rubli. Warszawa złoży je z pewnością. Prawdopodobnie z nadwyżką. Tydzień nas dzieli od zapowiedzianej kwesty, a już sypia się ofiary. Do społeczeństwa polskiego trzeba umieć przemówić. Słowo gorące a rozumne otwiera serca i kieszenie.

I lżej oddycha się na myśl, że przynajmniej w tej akcji nie będziemy korzystali z obcej pomocy, że młodzież polska tylko od ogółu polskiego dozna poparcia.

Bo ta zebranka na rzecz Polski, organizowana w różnych zakątkach świata, musi każdego polaka przejmować uczuciem przykładem. Oceniamy dobrą wolę szlachetnych inicjatorów i ofiarodawców. Zachowamy ich we wdzięcznej pamięci. Czyż jednak owe egzotyczne delegacje, przybywające do nas z ofiarami, rozdzielające je według swego uznania i upodobania, — jak bogate protektorki, które odwiedzają i kontrolują przytułek nędzarzy, nie przywożą nam również trochę upokorzenia?

W tych warunkach dziwnym wyda się projekt, który wylądował podobno w pewnych kołach arystokratycznych, aby Warszawa urządziła zbieranie składek na rzecz ofiar wojny... w Serbii i Czarnogórze.

Przemawiając na zebraniu publicznym w Paryżu, Paderewski wyraził się:

— O... tam zamienił lirę na sakwy jałmużnicze!

Tam, w Londynie, Paryżu, w Ameryce, — zebraliśmy. Rozlega się wszędzie bolesne polskie wołanie o chleb i dach, — tak głośne — że w końcu pomyśleć gotowe oba narody, iż większych trosk nie mamy. A wobec Serbii i Czarnogórze chcemy odgrywać rolę bogatszego krewnego, zapewne w myśl zasady, że nawet wśród żebraków, wysiadujących przed bramami poważkowskiego cmentarza, są różne kategorie nędzy!

Miejmy nadzieję, że niefortunny pomysł zamrze, nim się na świat wyłoni.

Niebo spowiło się w nieskażony lazur, rozkoszne słońce czarodziejska moca przybiera drzewa i krzewy w zieleń, wróciła z utęsknieniem oczekiwana wiosna. Wszystko wokół tchnie weselem. Na ulicach kobiety w lekkich strojach, uśmiechnięte... W sklepach ruch zwiększony. Któż z pań nie potrzebuje w tym czasie kostiumu, kapelusza? Niema świeżych modeli. Wiosna prócz radości niesie kłopoty i zmartwienia!...

Nikt — możnaby mniemać — nie pamięta, że nie dalej, jak o 60 wiorst

od rogatek, toczą się krwawe boje, że niedaleko płoną wsie i miasta, setki tysięcy rodaków mra z głodu i chłodu, że nasze jutro niepewne... Nawet cudzoziemców uderza lekkomyślność pewnych warstw polskich. W „Fortnightly Review” przygodny korespondent daje obraz Warszawy w dobie wojennej, zgola przykry. Twierdzi, że więcej nas zajmuje anegdota wojenna, niż sama wojna. Opowiada o towarzysztwie, które, uciekając z pod Łodzi przed pożogą bitewną, zatrzymało się na nocleg w jakimś dworze i wytańcowywało do białego rana, mimo, że huk dział przygłuszał dźwięki fortepianu. Mówi o paniczkach, którzy przywiezione do Warszawy kwity z rekwizytów niemieckich stawiają na karcie... Kwity mają być przyjmowane w grze w stosunku trzeciej części nominalnej wartości...

Cóż napisze ów anglik, gdy za kilka dni obaczy na polu Mokotowskim tłumy przy okienkach totalizatora!...

Nie będzie może wiedział, że cała prasa stołeczna wypowiedziała się przeciw wyścigom w tym roku. Towarzystwo Wyścigów Konnych, obstając przy gonitwach i totalizatorze, złożyło dowód, że lekceważy sobie opinię publiczną, że nie liczy się z nastrojem ogółu, że nie waha się być ogółowi polskiemu obcem. Fakt ten dziwniejszy, że prezes tego Towarzystwa jest członkiem Centralnego Komitetu Obywatelskiego.

Ustawa o nowym ustroju gospodarki miejskiej jest przedmiotem rozpraw i polemik. Będziemy mieli powódź broszur, wydawnictw, odczytów. I chociaż wiele wody w Wiśle upłynie, zanim w Ratuszu zbierze się rada stołeczna, sprawa wyborów już stała się aktualną. Popyt na mandaty z pewnością dziesięciokrotnie przekroczy ich liczbę. Szczególniej wszakże interesuje ogół warszawski pytanie, kto będzie pierwszym z wyboru prezydentem stolicy. P. Suligowski, zasłużony i nieustrudzony działacz w dziedzinie samorządu miejskiego, bawi od początku wojny za granicą. Plotka wysuwa nazwiska pp. Drzewieckiego, Nowodworskiego i Pułjanowskiego, jako domniemyanych kandydatów. Może bez ich wiedzy i chęci. Z pewnością przybędzie więcej nazwisk. Kto zwycięży? Zostawmy odpowiedź tym, co lubują się w hazardowych igraszkach.

Rezultat wyborów zależnym będzie w znacznej mierze od podstaw, na których oprze się akcja wyborcza. Już obecnie czynione są próby wytworzenia Komitetu Obywatelskiego, któryby akcję tę ujął w swe ręce. Zjawilo się kilka projektów, — pp. Lutosławskiego, Libickiego, Ruśkiewicz, Drzewieckiego. I wybrana została komisja, która na gruncie różnych pomysłów ma opracować projekt ostateczny.

Czy uda się akcję wyborczą zorganizować tak, aby obyło się bez

gorszących i drażniących walk? Wysłunięto hasło bezpartyjności. Watpliwem wydaje mi się, aby pod tem wezwaniem dało się zgodę osiągnąć. Choć bowiem rady miejskie w działalności swej pozbawione są charakteru politycznego, wybory do rad w wielkich miastach, a zwłaszcza w stolicach, nieomal zawsze i wszędzie nabierają politycznego znaczenia. Cóż dopiero w naszych warunkach bytu, i w wyjątkowym okresie, który przeżywamy!

Postawiono inną tezę: wybierać ludzi najlepszych i najodpowiedniejszych. Wiemy jednak, że w oczach pewnych stronnictw i grup najlepszymi i najodpowiedniejszymi są zawsze ci obywatele, którzy do tych stronnictw i grup należą, lub przynajmniej z niemi sympatyzują.

Oczywiście, pożądanem byłoby, aby do Rady Miejskiej w Warszawie weszło jaknajwięcej ludzi, z gospodarką miasta obeznanych. Czy atoli znajdzie się odpowiednia liczba takich fachowców? I czy wogóle fachowcy nie znajdą szerokiego pola działalności przy Radzie Miejskiej, bez konieczności bezpośredniego w niej udziału? Potrzeba ludzi pracy. To prawda. Dziewięciomiesięczna działalność Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy wykazała, że takich ludzi mamy bardzo wielu. Przedewszystkiem jednak w Radzie potrzeba ludzi o wyższej kulturze duchowej, o silnym i pewnym charakterze, — takich, którym stolica Polski będzie mogła śmiało, w przełomowej dobie, powierzyć swą godność. Nie ludźmy się. W dzisiejszych naszych warunkach politycznych stanowisko Rady Miejskiej w Warszawie będzie nieraz trudne i niebezpieczne. Fachowa znajomość urządzeń kanalizacyjnych, lub sposobów brukowania ulic, nie będzie wystarczającą, by odpowiedzieć zadaniu.

Kto stykał się bliżej z pracą społeczną u nas, ten wie, że nawet w takich specjalnych sprawach, jak nadzór nad taką cen artykułów spożywczych lub opieka sanitarna, wylaniają się wciąż trudności, których źródłem są anormalne warunki naszego bytu. Tych warunków ustawa o samorządzie nie zmienia. Trzeba będzie wielkiej czułości i energii, by nie dopuścić do ułatwiających kompromisów, które w skutkach mogłyby się okazać fatalnymi już nie tylko dla miasta, ale dla całego kraju.

Wszyscy uczciwi obywatele pragną z pewnością, aby pierwsze wybory w Warszawie odbyły się bez przykrych swarów i zatargów. Aby jednak dojść do porozumienia i harmonii, przyszły komitet wyborczy musi szczerze uwzględnić to, co myśli i czuje cała Warszawa, nie zaś jedna, choćby pozornie najpotężniejsza grupa.

Sk.





Halina Starska.



Stanisława Wysocka.



Aleksander Zelwerowicz.

W nadchodzącą sobotę rozpoczyna działalność „Teatr Powszechny”, mieszczący się tymczasowo przy ul. Oboźnej. Program bardzo piękny: za przystępną cenę dać możność szerszym warstwom podziwiania arcydzieł poezji w

formie najbardziej artystycznej. Do najwybitniejszych sił aktorskich nowego teatru, którym kierują pp. Limanowski i Grabowiecki, należą pp. Wysocka, Starska i Zelwerowicz.

Z teatrów warszawskich.

TEATR POLSKI. „Dziady”, poemat dramatyczny Adama Mickiewicza.

Kwestya: czy „Dziady” mają lub mogą być uscenizowane — jest, co najmniej, bezcelowa. Rozstrzygnięcia jej nie szukajmy też, na miłość Boską, w belferskich teoriach różnych suchych i drewnianych Mickiewiczzo-logów, którzy, dzięki usilnej, a przeszło półwiekowej już pracy, do zaciemnienia jasności i zagmatwania prostoty w „Dziadach” dzielnie się przyczynili. Kwestyę rozstrzyga w tym razie przede wszystkim to, czy na wysokości zadania znajdują się środki, jakimi rozporządza scena, na wielkie dzieło targnąć się pragnąca.

Środki te są dwójakiej natury.

Najpierw zewnętrzne, aby ucieleśnione wdziały fantazyi genialnego poety nie potknęły się o złą, lub nawet śmieszna formę. Im nastrój ogólny i ton jest wyższy, tem o fałset snadniej. A wiadomo, że od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok...

A potem środki wewnętrzne, czyli poprostu: miara i siła talentów aktorskich, zwłaszcza w rolach głównych.

Jednem i drugim Teatr Polski w zupełności rozporządza. Inscenizacja zewnętrzna „Dziadów”, dokonana przez p. Drabikę, jest piękna. Mogiłki, z zachodzącym przed nocą obchodem „Dziadów” słońcem, wnętrze starej kaplicy, historyczne wjeżdżenie po-Karmelickie w Wilnie — wszystko to pomyślano i wykonano z głębszym zrozumieniem i znajomością rzeczy.

Można się spierać, że inwokowane przez guślarza duchy, zwłaszcza „zły dziedzic”, szarpany „przez kruki, wrony”, zbyt blisko budki suflera ziemskimi butami stukający, byłby estetyczniej, gdyby się znalazł na dalszym planie. Że powiewna Zosia, która za życia „ziemi nie dotknęła”, choć bardzo ładnie przez p. Janiczównę interpretowana,

wisi zbyt widocznie na grubym drucie, w kółko się kręcąc. Że cała więzienna Konrada jest może nieco za obszerna...

Przytem inne jeszcze refleksye.

Wobec tylu genialnych reformatorów sceny, jakich nam obecnie dała Opatrzność, zajmujących tymczasem stanowiska ministrów bez teki, czy nie znalazłby się żaden, kto by potrafił dwa pierwsze obrazy, Mogilek i Kaplicy, złączyć w jeden obraz? Wszakże to jest jedno?

A dalej: czy scenariusz Wyspiańskiego jest kategorią imperatywną dla „Dziadów”? Dla mnie takim imperatywem nie jest nawet scenariusz do jego własnego „Wesela”, które zyskałoby na rozszerzeniu i uzupełnieniu. W scenariuszu „Dziadów” jest stanowczo za wiele skrótów i wyrzuceń. Zwłaszcza, jeśli już bez tego, nie można u nas widzieć ani balu u Senatora, choć to najsceniczniejszy może akt w „Dziadach”, ani senatorskiego snu, nie mówiąc już o innych, także koniecznych obcięciach.

Więc przynajmniej reszta może naby zachować w całości.

Nie umiem sobie wystawić doskonalszego Gustawa-Konrada, jak p. Brydziński. Ujmująca, szlachetna postawa. Głos brzmi nutą prawdziwego sentymentu. Inteligentne odczucie myśli poety. Dzięki temu, nawet karkołomna improwizacja nie prowadzi do załamania głosu i gestu, nie nuży, ani męczy, ani artysty ani słuchacza, jak się tego było świadkiem przy innych interpretacjach.

Artysta charakteryzuje się na Mickiewicza z lat młodych, mniej więcej tak, jak go znamy z portretu Wańkowicza, przedstawiającego poetę, romantycznie wspartego „na Judahu skale”. Bardzo słusznie, Konrad jest postacią egotyczną. Młodzieńcza miłość: szal poetycki, po którym dopiero, jak sam wyznaje, w więzieniu u Karmelitów „do rozumu przyszedłem”: nareszcie późniejszy zamęt na tle Towianizmu — wszystko to streszcza się i kolejno nabiera kształtów w Gustawie-Konradzie.

To jest pod wielu względami sam poeta. Podobnie egotycznym odbiciem duszy poety jest np. „Faust” Getego, „Manfred” — Bajrona, Henryk w „Nieboskiej”, lub „Irydion” — Krasińskiego. Nawiasem mówiąc, „Dziady” posiadają wiele więcej warunków scenicznych, niż „Irydion”.

Taka zatem charakterystyka nie jest wcale profanacją; przeciwnie, zgadza się z istotą rzeczy, z psychologiczną prawdą.

Słowem, roli Konrada można p. Brydzińskiemu tylko z całego serca powinszować.

Na następnych przedstawieniach rolę Gustawa dublował z powodzeniem p. Wiślański.

To samo p. Sosnowskiemu za jego świetną kreację ks. Piotra. Scena, zresztą tak bardzo trudna, egzorcyzacji „złego ducha” była wprost wspaniała... Czart-Lewiatan był może nieco trywialnym, ale i on miał momenta szczęśliwe. Trudność i piękność tej sceny polega na przedziwnie subtelnej mieszaninie jakiegoś humoru dyabelskiego z wysoce dramatycznym napięciem. Wobec tego postać Archaniola, choć w mierze i nastroju utrzymana przez p. Lenczewskiego, schodzi jednak na drugi plan. Z innych ról wymienić jeszcze należy p. Duninównę, która z roli Maryli, choć nielitościwie skrócone, umiała wydobyć promień poezji. Opowiadanie starego legionisty — „vivat polonus, unus defensor Mariae” — stało się, dzięki grze p. Jarczaka, silnym i wymownym epizodem...

Więc konkluzya: Netylko można, ale trzeba grać „Dziadów”. Dla wielkiej poezji niema chyba chwili odpowiedniejszej, jak obecna. Publiczność odczuwa doskonale nastrój wzniosły, przejmując się nim aż do głębi. Płaskie, zdawkowe koncepcje teatralne na tematy „bieżące” nie mogą na dłużej ani wystarczyć, ani zadowolnić. A. Br.

OPERA. Wznowienie Fra-Diavola należało do najbardziej nieudatnych widowisk w bieżącym sezonie. Ta stara, lecz miła opera komiczna wymaga nietylko dobrych śpiewaków, ale także wyrobionych i zdolnych aktorów. Dyrekcyja nie znalazła dla głównych ról odpowiednich wykonawców i przedstawienie sprawiało wrażenie widowiska amatorskiego, mimo heroicznych usiłowań kilku artystów, z p. Gabrielem Gorskim na czele.

TEATR KOMEDYI. Dwie wesołe farsy, operetka, piosenki i monolog stróża „Walantego” o cholerze — oto program „Teatru Komedyi”. Na pierwszy ogień idzie zabawne „Rendez-Vous”, grana w szybkim tempie przez p. Kopczewską i Gierasińskiego. „Oj! te bliźnięta” — sytuacji nie jest też wesoła krotkość. Przyjeżdża pani X do hotelu, bierze numer, a pijany lokaj prowadzi ją do pokoju już zajętego przez jakiegoś pana. Chwilowa konsternacja przechodzi w słodkie sam na sam. Parę podróżników grali p. Załuska i p. Lenartowicz. Na zakończenie odśpiewano operetkę C. K. O. p. W. Jastrzębca, pełną zabawnych epizodów. Głosowo prym trzymał p. Romaniszyn, który też ładnie odśpiewał piosenkę p. W. Krupińskiego p. t. „Nota bene”. Bardzo się też podobał „Walant” p. Bratkiewicza. cz.



Aeroplany niemieckie obrzucają nasze ciche i spokojne miasteczka bombami. Ulicą ciągnie pogrzeb jednej z ofiar drapieżnego ptaka germańskiego.

Ś. p. Bolesław z ks. Światopełk-Mirskich Rodysowa,

córka ś. p. generała wojsk polskich i Maryanny z Nostitz-Jackowskich, zmarła w 85 roku życia.



Dom jej był prawdziwym schroniskiem dla skołatanych serc i mózgów po roku 63-im. Przez całe życie i we wszystkich okolicznościach dawała przykład, jak należy wypełniać obowiązki rodzinne i społeczne. Wspierała ubogich, sprzyjała każdej inicjatywie pomocy

żeniu doli uciemięzonych. Demokratka z przekonań, umiała szanować spuściznę naszych dziadów i pradiadów. Śmierć ś. p. Rodysowej wzbudziła w Warszawie żal serdeczny.

Ś. p. Ludwika Sołtanowa.

W roku tym tragicznym, pełnym grozy, gdy żniwo śmierci setki tysięcy ofiar liczy i wrażliwość dusz naszych pod nawalem nieszczęść stępieła, — wieść o zgonie Ludwika Sołtanowej rozległa się jednak bolesnym echem w sercach krewnych i znajomych. — Ubyła jedna z rzadkich wielce istot, co nie miała wrogów a nawet niechętnych. Zdrowa na ciele i duszy, z filozoficznym spokojem i niezwykłą pogodą spotykała wszelkie przeciwności i troski, które los jej gotował. Mając pogodę w sercu i umyśle, wносиła ją też ze sobą do każdego środowiska, w którym przebywała. — Wzorowa żona, kochająca siostra, serdeczna krewna, pozostawiła



po sobie żal nieutulony w duszach naj-

bliższych. Żalu tego nie mogą nie dzielić również ci wszyscy, nad którymi nieboszczka rozciągała opiekę, należąc do licznych instytucji dobroczynnych i pracując tam usilnie, chociaż bez rozgłosu i ubiegania się o stanowiska zaszczytne. — Ś. p. Ludwika, córka ś. p. Szymona i Jadwigi z hr. Potockich bar. Brunnowów, urodziła się w roku 1852-im w majątku rodziców w gub. kowieńskiej i tam też młodość swoją spędziła. W roku 1883-im zaślubiła Adama hr. Sołtana i przez lat dwadzieścia kilka zamieszkiwała w gub. grodzieńskiej, w rodzinnym majątku męża, ciesząc się powszechnym uznaniem i szacunkiem całego sąsiedniego obywatelstwa. Ostatnich lat kilka spędziła wraz z mężem w Wilnie, gdzie ciężka niemoc kres jej życiu położyła.

Cześć pamięci zacnej i dobrej obywatelki. 9798 A. V.

Ś. p. Ludomir Kosiński,

przemysłowiec m. Warszawy, właściciel firmy „Maison Ormonde”, zmarł dn. 15 kwietnia r. b. Urodzony z rodziny ziemiańskiej w dobrach dziedzicznych Gutowo-Starzyna ziemi Płockiej w 1850 roku, kształcił się początkowo w jednym z zakładów naukowych w Płocku, dalsze zaś studia odbywał w Galicji. Ukończywszy nauki, odbywał praktykę handlową w pierwszorzędnym zakładach przemysłowo-handlowych galicyjskich i niemieckich. Po kilkuletniej pracy, uzupełniającej jego wykształcenie handlowe, za granicą, powrócił do Warszawy i tu rozpoczął swój zawód w ogólnie znanej wówczas firmie bławatnej Włodkowskiego. Badając pod-



czas swego pobytu za granicą rozwój przemysłu tamtejszego, zalewającego nasze rynki swoją produkcją — i mając na względzie, jako godny obywatel kraju, dobro swego narodu — zatroszczył się o wyzyskanie pola pracy, leżącego u nas odłogiem. Ożywiony tą myślą, założył w r.

Ormonde”, mieszczący się początkowo w Alejach Ujazdowskich, skąd przeniesiony został przed kilkunastu laty na Nowy Świat, oraz dwie pracownie, wyrabiające przybory i części do rowerów, następnie zaś motocykli i automobilów, co zapewniało być całemu szeregowi pracowników-polaków. Dzięki wrodzonym zdolnościom, niezmordowanej pracy, żelaznej sile charakteru i energii, doprowadził stworzoną przez siebie placówkę przemysłu krajowego do takiego stopnia rozwoju, że firma ta miała być przeistoczona na towarzystwo akcyjne — czemu stała na przeszkodzie śmierć jej założyciela. Będąc bezdzietnym, ś. p. Ludomir Kosiński przysparzał pod swe skrzydła chłopczyka sierotkę po siostrze swej małżonki, dla którego był najserdeczniejszym przyjacielem i oddanym z całego serca opiekunem. Dbając o przyszłość wychowanka, umieścił go w jednym z pierwszorzędných zakładów naukowych, kierując, pomimo nawału pracy i spraw zawodowych, osobiście jego nauką. Odnaczając się prawością charakteru, dobrocią serca, uczynnością i dbałością o podwładnych, zmarły zjednał sobie serca ludzkie, oraz przyjaciół i uznanie w szerokich kołach naszego świata przemysłowo-handlowego. Sport welo-cypedowy i rozwój tegoż żywo zajmował ś. p. Kosińskiego, był też bardzo czynnym członkiem Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów od chwili założenia. Śmierć nieubłagana przecięła przedwcześnie pasmo jego dni w całej pełni twórczej działalności nad rozwojem nowych ognisk pracy w naszym kraju.

Zgasił na rękach małżonki i pracowników swych zakładów, nie odstępujących go po całych dniach i nocach. Zgon ś. p. Kosińskiego okrył ciężką żałobą pozostałą małżonkę Teofilę z Idzikowskich i wychowanka oraz wzbudził szczery żal wśród szerokich kół jego przyjaciół i znajomych. Spoczął na cmentarzu powązkowskim.

Cześć jego pamięci. 9797

Udogodnienia w armii pruskiej.



Oficer niemiecki na czatownicy.

Ofiary złożone w adm. „Świata”.

Na chleb Św. Antoniego:
Ant. Szewczunolowa rb. 4.

Dla Rosińskiego:
Józef Kalinkiewicz kop. 60.

Na Kom. Op. nad jeńcami:
Ze skarbanki gry w karty w R. rb. 2 kop. 30.

Dla Kucharskich:
Pp. Pietraszewscy z Otwocka kupon Nr. 0766 rb. 11 kop. 87.

Odpowiedzialny redaktor-wydawca:
Czesław Podwiński.